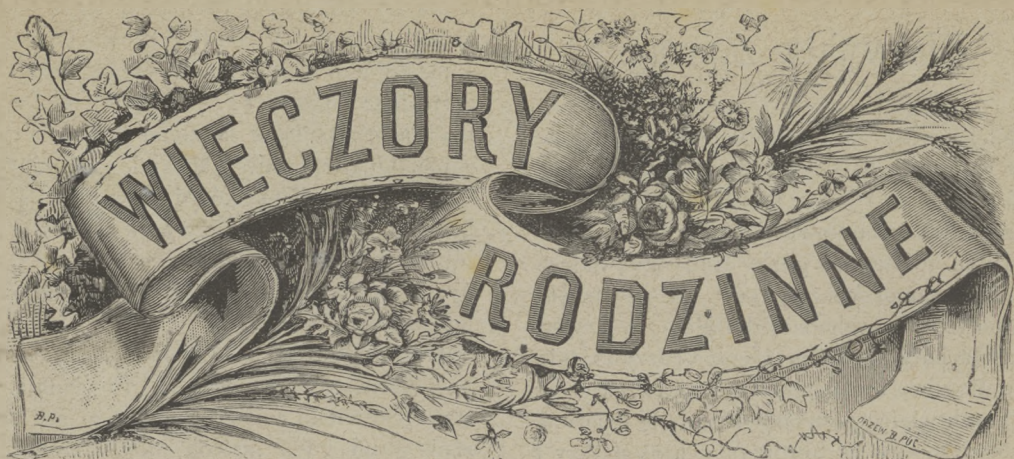




CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi w Warszawie: *Rocznie* Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinnie. *Kwartalnie* Rs. 1 i kop. 2 1/4. *Miesięcznie* kop. 34 i pół. Na Prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt. *Rocznie* rs. 5 i 10 kop. *Kwart.* rs. 1 kop. 27 1/2 w Poznaniu u N. Kamińskiego: *Rocz.* 14 marek. *Kwart.* 3 marki 50 fenig. Z przesyłką pocztową na prowincyi *Rocz.* 16 marek. *Kwart.* 4 marki. We Lwowie u Gubrynowicza i Schmiela *Rocz.* 7 złr. 20 cent. *Kwart.* 1 złr. 80 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. 80 cent. *Kwart.* 2 złr. 20 cent. w Krakowie u Gebethnera i Sp. *Rocz.* 6 złr. 60 cent. *Kwart.* 1 złr. 65 cent. Z przesyłką poczt. na prowincyi: *Rocz.* 8 złr. *Kwar.* 2 złr.
Biuro Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.



Niezwykły zaprząg.

Niezwykły zaprząg.

Nieprawdaz, mili czytelnicy, że chętniebyście się przejechali tym ślicznym zaprzęgiem, który jest na rycinie naszej przedstawiony. Przejazdżka ta odbywa się w ogrodzie zoologicznym w Paryżu, gdzie się hodują najrozmaitsze zamorskie zwierzęta. W pewne dni wolno tam przychodzić dzieciom, a nawet, jak widzicie, bardzo przyjemne rozrywki się tam dla nich urządza. Oglądanie zwierząt żyjących wielce jest pożyteczne dla dziatwy, zwłaszcza, jeśli jej towarzyszy ktoś starszy i przy tej sposobności przytoczy różne szczegóły z życia i obyczajów tych zwierząt. Wiadomości te daleko łatwiej się tym sposobem w pamięć wrażają.

My w kraju naszym nie mamy takich pięknych i bogatych zwierzyńców, musicie więc, czytelnicy, poprzestać na obrazkach, a my i z obrazka skorzystamy, ażeby wam opowiedzieć coś o strusiach.

Ptaki wyobrażamy sobie zwykle, jako istoty latające, bo najwięcej widujemy takich, które szybują lekko w powietrzu; przywykliśmy też mówić: leci, jak ptak. A tu struś nie posiada właśnie tej zdolności, jest ptakiem, a nie lata; prawda, że za to biega znakomicie i konia prześciga z łatwością. Arabowie, nie mogąc pojąć, dla czego struś skazany jest na piechotę, kiedy tak okazałe ma skrzydła, w bujnej swój wyobraźni wymyślili taką o nim bajeczkę: Powiadają, że piękny ten ptak, po stworzeniu zwierząt na świecie, latał tak samo, jak i inne ptaki, ale pobłądził wielką zarozumiałością, licząc na swoją siłę, chciał aż do słońca dolecieć. Wtenczas Pan Bóg za karę strącił go na ziemię i skrzydła mu podciął. Nie może więc odtąd nicborak, nietylko na słońce się wybierać, ale nawet na drzewo podlecieć, musi chodzić po ziemi.

Struś w języku naukowym nosi przydomek wielbłąda, *Struthio camelus*. Dziwnem się to wydaje na pozór, ażeby ptaka, choćby największego, porównywać do takiego ogromnego i ociężałego zwierza, a jednak przypatrzwszy się uważnie, można spostrzedz

po między wielbłądem i strusiem wiele podobieństwa, nawet w powierzchownej postaci, a cóż dopiero w sposobie życia i obyczajach. Struś idąc kołysze się podobnie, jak wielbłąd, a przysiadając na ziemi podobnie nogi zgina. Obaj są mieszkańcami pustyni, żyją wśród spiekłych piasków i wytrzymali są na brak wody. Struś właściwy przebywa w całej Afryce, wszędzie, gdzie są równiny i stepy. W innych częściach świata żyją odmienne gatunki strusiów.

Różne pogłoski, dość niekorzystne, chodzą po świecie o tych ptakach. Powiadają, że struś jest wielki żarłok, potem, że jest strasznie głupi, gdyż ma on niby w niebezpieczeństwie przysiadac na ziemi i chować głowę pod skrzydła, w tém błogiém przekonaniu, iż doskonale się schował tym sposobem. Ale to czysta potwarz, struś nigdy nie podobnego nie robi, a w niebezpieczeństwie, zamiast radzić sobie w tak niemądry sposób, broni się odważnie, bije nogami, i tak jest silny, że może zranić, a nawet zabić człowieka. Co do żarłocstwa, nie tak łatwo potrafiłmy reputacyą strusia oczyścić z tego zarzutu, bo rzeczywiście ma on ten brzydki zwyczaj, że chwyta i przełyka wszystko, co tylko spostrzeże przed sobą, kamyki, kawałki żelaza, szczególnie go nęcą podobno przedmioty błyszczące. Raz naprzykład, w tym samym ogrodzie zoologicznym w Paryżu, gdzie się znajduje ów ładny zaprząg, na rycinie przedstawiony, zbliżył się do strusia uczeń zakładu naukowego, mający ubiór z błyszczącemi guzikami. Chłopak ani się spostrzegł, jak brzydki żarłok wyciągnął długą szyję i ostrym dziobem, jakby nożycami, odciął mu guzik i w jednej chwili połknął. Strusie w stanie dzikim żywią się roślinami i drobnymi zwierzątkami, a w niewoli pożerają pokarmy wszelkiego rodzaju.

Opowiadają także o strusiach, że jaja swoje zagrzebuja w piasku pustyni i wcale ich nie wysiadują, bo gorące słońce zwrotnikowe wygrzewa je dostatecznie. Ale jest w tém bardzo wiele przesady. Rzeczywiście w najcieplejszych okolicach, pod równikiem, jaja strusie prawie przez cały dzień mogą się obejść bez sztucznego ogrzewania, nigdy jednak strusie nie pozostawiają ich tak na noc,

a co jest najdziwniejsze, to, że zazwyczaj samiec daleko troskliwiej od samicy na nich siedzi i po wykluciu się piskłat, pielęgnuje je z większą czułością i cierpliwością niż matka. Jaje strusie jest 24 razy większe od kurzego, ma być dosyć smaczne do jedzenia; pojmujecie, że takiem jedném jajkiem może się kilka osób najęść do syta. Skorupa jest twarda i trwała, wyrabiają też z niej różne drobne przedmioty.

Na przykładu Dobrzej Nadziei, w południowej Afryce, hodują strusie w znacznej ilości w europejskich osadach, dla ozdobnych piór, które są w handlu wysoko cenione. Piękne te pióra, śnieżnej białości, tylko na końcu skrzydeł i ogona wyrastają, reszta upierzenia strusia jest ciemna, a u samca zupełnie czarna. Arabowie, dla tych szacownych piór, polują na strusie, goniąc je na dzielnych koniach, aż póki biedny ptak się nie zmęczy i nie upadnie bezsilny na piasku.

Elżbieta i Elżbietka.

(opowiadanie o Družbackiej).

— Ach, Elżbietko, co robisz, nie trącaj! bo krzywo narysuję!

— Mój Olesiu, przecież i ja potrzebuję miejsca do pisania; porozkładałeś papiery, linie i ołówki na całym stole, gdzież ja pisać będę?

— Ej, co mi tam do twojego pisania, co to tam twoje pisanie znaczy!

— Doprawdy, nic nie znaczy? tobie się zdaje, że największą mądrością są te kółka i linijki, które wciąż rysujesz.

— Zapewne, że większą mądrością, aniżeli jakies tam twoje przepisywanie. To, moja kochana, trzeba ci wiedzieć, nie są żadne kółka i linijki, ale figury geometryczne.

— Oho, wielka mi mądrość!—I to mówiąc nieuważna dziewczynka posunęła papiery brata i rzeczywiście popsuła mu robotę.

— Oj! oj! co ty robisz, Elżbietko! wszystko mi popsuła, doprawdy, że z tą dziewczyną, to już świętej cierpliwości zabraknie;

do czego się dotknie zaraz spsoci. No, patrz, coś zrobiła? miałem narysować koło, a to są jakieś zygzaki.

— O, wielkie mi rzeczy! to narysujesz drugie: przecieżem niechciała ci popsuć. No, ale ja już dzięki Bogu skończyłam moje pisanie.

— Co mi tam do twojego pisania! już póki życia z tobą razem przy stoliku nie usiadę.

— A to dla czego?

— Paradna jesteś, dla czego? kręci się, wierci, trąca, psuje robotę i jeszcze się pyta; *dla czego*; ty nawet poszanować nieumiesz całej mojej pracy.

— Oj! oj! tak mówisz o tej pracy, jakbyś cały świat zbudował.

— Więcej zapewne zbuduję, aniżeli ty, bo twoja robota nie nie warta.

— Proszę? doprawdy moja robota nie nie warta; przecież ja tak samo się uczę i mama powiada, że jestem bardzo pilna.

— Ej, co mi z tego, żeś ty pilna; niby to która dziewczyna nauczy się tak, żeby był pożytek z jej pracy.

— A to ślicznie! a Marynia, jaka to ona dobra, a jaka rozumna.

— Marynia, to co innego.

— Ciekawam dla czego? przecieżem ja jej rodzoniutka siostra, tak jak ty jej braci-szek.

— O, Marynia, to Marynia; ale ty, Elżbietka, to taka tylko *biedka*, a nawet cała bieda.

— To i cóż, teraz jestem Elżbietka; a jak urosnę, to będę panna Elżbieta, i będę taka rozumna i dobra jak Marynia, ho, ho, z pewnością mądrzejsza od ciebie.

— Zdaje ci się, moje maleństwo, alboż to kto słyszał, żeby jaka Elżbieta była bardzo mądra? no, powiedz sama, słyszałaś ty co kiedy o jakiej Elżbiecie?

— Ja nie słyszałam, ale pewnie była jaka sławna Elżbieta.

— Ja ci powiadam, że żadnej nie było.

— To zapytajmy się Maryni.

— Dobrze. Chodź.—I to mówiąc Oles, zapomniawszy o swoich figurach geometrycznych, wziął Elżbietkę za rękę i pociągnął do drugiego pokoju, aby starsza siostra Marynia, która zawsze godziła ich spory i na

ten raz powiedziała, które z nich ma słuszość.

— Maryniu, wszak prawda?—pytał Oleś, trzymając ciągle siostrę za rękę.

— Nie mów mu, Maryniu, że prawda—wołała ze swjej strony Elżbietka.

— Ani prawda, ani nieprawda—ozwała się Marynia wesoło, podnosząc oczy od roboty, którą pilnie była zajęta, nie wiem, o co wam idzie, jakże mogę przyświadczać lub przeczyć, pewnie znów jakaś sprzeczka?

— Ale bo, moja Maniusiu, Oleś powiada, że żadnej jeszcze nie było Elżbiety, któraby coś dobrego na świecie zrobiła, a każda Elżbietka to *biedka* i tylko z nią bieda.

— No powiedz, powiedz, moja Maniusiu, czy była kiedykolwiek jaka sławna Elżbieta? ja o żadnej nie słyszałem—dodał Oleś siadając.

— Ja za to słyszałam nie o jednej.

— Aha, a widzisz!—rzekła klaszcząc w ręce Elżbietka.—To powiedz, Maniusiu, powiedz mu chociaż o jednej sławnej Elżbiecie—dodała tuląc się do siostry, i usiadła przy jej nogach na małej ławeczce.

— Czy tobie chodzi koniecznie o to, żebyś była sławną?

— Nie, moja Maniusiu, ale chciałabym koniecznie być bardzo rozumną.

— No widzisz, Maniusiu, jak to ta malutka Elżbietka koniecznie chce sięgać po rozum.

— Nie masz się z czego śmiać, mój Oleśiu, owszem powinieneś się cieszyć, że naszą małą siostrzyczką pragnie być rozumną.

— Kiedy to nie dosyć na tém, ale to małeństwo koniecznie chce być sławne, i dla tego utrzymuje, że musiała być jakaś sławna Elżbieta, żeby ją potem naśladować.

— O, jeżeli dla tego, to z ochotą opowiem wam nawet o Elżbiecie, którą bardzo bym pragnęła, żeby nasza Elżbietka naśladowała.

— Moja Maniusiu, dzisiaj mówisz Elżbietce, że chciałabyś, aby jakąś sławną Elżbietę naśladowała, a wczoraj dawałaś jej nauki, że dziewczynka powinna być dobrą, grzeczną, dużo się uczyć, ale nie dla tego, żeby się popisywać z tą nauką i szukać z niej sławy, ale żeby być prawdziwie pożyteczną i

miłą dla tych, wśród których żyje. A widzisz, Maniusiu!

— Cóż widzę, mój ty przekorny bracišku? Chciałbyś może, żebym zaprzeczyła temu, co wam wczoraj mówiłam? a tu przeciwnie. Moja sławna Elżbieta, o której wam chciałam opowiedzieć, umiała właśnie połączyć wysoką naukę, niepospolity rozum, sławę autorską, z domowymi cnotami; i przede wszystkim była pożyteczną najbliższemu otaczającym ją osobom.

— Moja Maniusiu, to powiedz nam o tej Elżbiecie, niech Oleś raz się dowie, że była jaka dobra i rozumna Elżbieta, i że ze mnie może jeszcze bardzo porządna osoba wyrosnąć.

— Oj, moja ty osobo!—zawołał wesoło Oleś i wraz z ławeczką podniósł ośmioletnią siostrzyczkę do góry okręcając się z nią w około.

— Olesiu, Olesiu, nie ufaj swojej sile—wołała Marynia.

— Mój Olesiu, daj pokój!—prosiła nawpół ze śmiechem Elżbietka, kontenta z żartów brata.

— No, siedźże sobie, moja wielka Elżbieto!—rzekł w końcu zmęczony Oleś i postawił ją ze stołkiem przy Maryni, siadając sam z drugiej strony.

— Maniusiu, powiedz Olesiu o tej sławnej Elżbiecie.

— Aha, prawda, powiedz, Maniusiu, niech się też co dowiem, o jakiej Elżbiecie.

— A więc dobrze, opowiem wam dziś o tej, której wiersze niedawno czytałam.

— Oho, to... to była jaka Elżbieta, co wiersze pisała? no, no, anim się spodziewał.

— A widzisz!

— No, ale nie przerywaj, Elżbietko. Jakże ona się nazywała, Maryniu?

— Elżbieta z Kowalskich Drużbacka; była to poetka, żyjąca w XVIII wieku.

— Jakto, to nawet nie tak bardzo dawno. To dopiero! a ja o niej nie słyszałem.

— Moja Maryniu, jaki ten Oleś zarozumiały, zaraz dziwi się, że nie słyszał, tak jak gdyby taka pani Drużbacka była jego kolegą w klasie i miała obowiązek koniecznie się z nim zaznajomić.

— Ej powiadam ci, że jesteś małeństwo,

a starszemu mówisz, że jest zarozumiały—rzekł Oleś trochę urażony, bo rzeczywiście posiadał tę wadę, ale nie lubił, gdy mu kto o niej wspominał.—Ciekawym bardzo, co moja zarozumiałość ma wspólnego z Elżbietą Drużbacką? hm; ale jak to ty możesz mówić, że chciałbym, aby ona była moim kolegą? najpierw, przecież to pani, a potem Elżbieta Drużbacka żyła w XVIII wieku. Ba, alboż ty wiesz, co to wiek.

— O, przepraszam cię; wiem, wiem; wiek to jest lat sto, a więc Elżbieta Drużbacka żyła temu lat sto, bo teraz jest wiek dziewiętnasty; prawda, Maryniu?

— Prawda, moja Elżbietko, że teraz jest wiek dziewiętnasty, prawda, że Elżbieta Drużbacka żyła w osiemnastym wieku, ale to nieprawda, że żyła temu lat sto, bo już cokolwiek więcej; dla tego, że umarła 1765 r. a więc lat sto, i...

— A tak, sto i piętnaście, bo teraz mamy 1880, teraz to już chyba prawda?

— Najzupełniejsza; i właśnie tego chciałam, żebyś obrachowała, o ile to lat więcej niż setka od śmierci Elżbiety Drużbackiej; ale widzę, że i rachunki coraz lepiej wchodzi w główkę mojej małej siostrzyczki.— I to mówiąc, pogładziła jasną główkę dziewczątka.

— Ale, Maryniu, cóżś miała nam powiedzieć o tej Elżbiecie Drużbackiej?—zapytał Oleś.

— Ta Elżbieta Drużbacka ślicznie pisała wiersze, a najpiękniejsze z nich i najbardziej dla was zrozumiałe, są pod tytułem: „Wiosna.“

— To nam je powiedz, Maniusiu,—prosiła Elżbietka, a Oleś zamiast prośby pocałował siostrę w rękę i przysunął się jeszcze bliżej.

— No, to wam powiem, jeżeli tak koniecznie chcecie—i tak zaczęła:

„O! złoty wieku w postaci dziecinnej,
Wiosno wesola! toć się pięknie śmiesz,
Wszystko twój ujdzie płochości niewinnej,
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzejesz;
Wolność, jak dziecku, dla swojej zabawki,
Dziś urodzone straszyć śniegiem trawki.
Przecież choć straszysz, nie uczynisz szkody,
Ni skrzepłem zimnem, ni przykrém gorącem.
Przyjemna pora, czas miły, czas młody,
Ma swą umowę z powietrzem i słońcem:

Wie kiedy zagrzać, wie kiedy ochłodzić,
Ma sposób starość orzeźwić, odmłodzić.
Ty okowaną i ścieśnioną ziemię
Od tęgich mrozów uwalniasz z niewoli,
Jak córka, matki kochająca plemię,
Kajdany zimne rozpuszcza powoli.
Potem zaś bliższym ogniem gdy dosadzi,
Z lodowej więzy więźnia wyprowadzi.
A po tyrańskiej zimowej opiece,
Pozwalasz ziemi odetchnąć swobodnie.
Ta stworzywszy ciepłych duchów piece,
Skostniałe role ogrzewa wygodnie:
Im częstsze tchnienia z ust swych rozpościera,
Wszystko się rodzi, a nic nie umiera.
Choć się zasępisz, choć płaczem rozkwiliłsz,
Nie przykro patrzeć na twoje grymasy,
Spragnioną matkę swemi łzy posiliłsz,
Ucieszysz pola, łąki, kwiaty, lasy;
Ty wszem żywiołom pożytek przynosisz,
Gdy perłowemi wody często rosisz.
Ty szczodra możesz zwać się monarchinią,
Która corocznie barwy wszystkim dajesz,
Czego najwięksi mocarze nie czynią
Tyś chętna w datku, nikogo nie łajesz.

.....
Ptasząt rozlicznych głosy słychać w gajach,
Te gniazda ścielą, te miejsca szukają;
Te już spokojne, co siedzą na jajach,
Te zaś, choć ślepe, z gniazdek wyglądają;
Temu miód niesie, muszkę, temu mrówkę,
To pyszczkiem prosi, to nachyla główkę,
Żadne próżnować nie chce w czasie drogim,
Każde się stara mieć z piskląt pociechę:
Choć tego tuzin jest w domku ubogim,
Przecież ich bronią sowom nosić w strzechę.
Tu słowik wdzięczne przemiany w swym głosie
Posyła echu, które chętnie niesie
Przyjemną śpiewkę porankowej rosie;
Słychać go w łożach, słychać w ciemnym lesie;
A gdzie strumyczek szemrzając płynie wązki,
Pleszcze skrzydełka skooczywszy z gałązki.

— Co to ta Marynia ma w swojej główce! tylko ją poprosić, to zaraz takie długie wierszyki wypowie—rzekła z podziwieniem Elżbietka.

— O, Marynia ma dużo w swojej główce, ale i te wiersze są bardzo ładne. Bo to tak wszystko opowiada o tej wiosnie, i o perełkach śniegu, których jeszcze słońko niestopiło, i o trawce, i o tém, jak na wiosnę ziemia, jakby wypuszczona z niewoli, do życia się budzi, i o tém, jak deszczyk ciepły upadnie i wszystko przyoblecze w zieloność; jak umai łąki i gaje; i o muszkach, i o ptaszkach jak pracują i karmią w gniazdkach pisklętą;

słowem o wszystkim, co tylko na wiosnę widzimy. Doprawdy, jak się przeczyta te wiersze, choćby zimą, to się zdaje, że się widzi słonko i zieloność.

— Masz słuszość, mój Olesiu, że to tak pięknie w tych wierszach opisane, jakby się wszystkie dary wiosny miało przed oczyma. I to też jest właśnie największą zaletą Drużbackiej, że z taką prawdą opisała to, co sama czuła; to właśnie dowodzi, że była rzeczywiście poetką, jeżeli umiała oddać piękność przyrody i opisać z taką prostotą i prawdą, że ci, co ją czytają, doskonale zrozumieją i przedstawią sobie zaraz to, co ona opowiada; dla tego też utwory jej głównie zaliczają się do poezji opisowej.

— Moja Maryniu, dla czegoś ty mówiła: Elżbieta z Kowalskich Drużbacka?

— Dla tego, moja Elżbietko, że rodzice jej nazywali się Kowalscy, a więc i ona Kowalska; potem poszła za mąż, za Drużbackiego, skarbnika żydaczewskiego, więc nazywała się Drużbacka.

— Co to znaczy, Maryniu: *Skarbnika?* bo skarbonka, to wiem, że takie zamykane pudełko, gdzie się chowają pieniądze, ale skarbnik?

— Ach, jaka ta Elżbietka zabawna. Skarbnik, to taki urzędnik, który zawiaduje pieniędzmi, złożonemi przez mieszkańców jakiejś okolicy za rozmaite opłaty, które się składają dla króla. Wszak prawda, Maryniu?—ozwał się Oleś, czekając potwierdzenia siostry.—Ale żydaczewski? to już nie wiem, gdzie leży ta ziemia—dodał po chwili.

— Ziemia żydaczewska leży nad Wisłoką, rzeką wpadającą do Wisły w bliskości jej źródła, a więc w Galicyi, i tam też Drużbacka mieszkała, we wsi Rzemieniu, wraz z mężem i kilkorgiem dzieci.

— Oho, to ona miała dzieci, a kiedyż miała czas pisać wiersze? bo jeżeli miała kilkoro dzieci, to musiała mleć i gospodarstwo, a ja widzę, jak to mama ogromnie się utrudzi i napracuje, chociaż ty jej, Maryniu, pomagasz.

— Zapewne, mój Olesiu, że każda matka i gospodyni domu ma niemało pracy, tém większa więc zasługa Elżbiety Drużbackiej, że nie opuszczając swoich obowiązków, znalazła

jeszcze czas, aby uczyć się i kształcić, a nareszcie wypisać to, co jej wyobrażnia i u-sposobienie poetyckie na myśl podsuwało. A trzeba wam wiedzieć, że w ośmnastym wieku nie uczono kobiet tak, jak dzisiaj, nie starano się tak pilnie o ich ukształcenie i rozwinięcie umysłu. Na dworze królewskim i u wielkich panów, dbano głównie o język francuzki, z którego tyle zaczerpnięto wyrazów, że aż często język nasz był niemi popsuty; w dworach zaś szlacheckich, w jakim się wychowała Drużbacka, uczono tylko pracy około gospodarstwa kobiecego i o czystego języka. Nasza Elżbieta obdarzona niepospolitemi zdolnościami od natury, chciała czytać polskich poetów, a nie umiając żadnego obcego języka, kształciła swój talent poetycki na rodzinnych dźwiękach i pieśniach, które potem sama z kolei śpiewała.

— A czy to ona bardzo dużo wierszy pisała, czy też tylko tę wiosnę, którąś nam powiedziała?

— Moja Elżbietko, twoja imienniczka nie-mało w swém życiu wierszy napisała. Wiersz zaś o wiosnie jest wyjątkiem z obszerniejszej pracy pod tytułem: „Cztery pory roku.“ Prócz tego pisała ona bardzo dużo poezji religijnych, a widząc, jak niektóre panie mają niesłuszne wymagania, napisała bardzo zabawne wiersze, zwane satyrą, ganiąc ten nierozsądek, pod tytułem: „Skarga kilku dam.“ Do piękniejszych jej prac należy: „Snopek“, w którym opowiada, jak śmierć chwali się, ilu to ona ludzi zcięła z tego świata, i jaki z nich duży związała snopak. Wiedziecie więc, że Drużbacka miała talent bardzo rozległy, bo pisała poezje opisowe, religijne i satyry.

— Zapewne, że to była mądra kobieta ta Drużbacka. A więc wracam sławę, wiem teraz, że była jakaś uczona Elżbieta. To może jeszcze i nasza Elżbietka uczoną zostanie, o, chciałbym nawet tego, ho, ho, wtedy byłbym z wielkim dla niej uszanowaniem.

— Ciekawam bardzo, mój Olesiu, czemu byś nie miał być teraz dla mnie z uszanowaniem.—I to mówiąc, dziewczynka wyprostowała się, dla dodania sobie powagi.

— No, posłuchaj tylko, moja Maryniu, ta małutka Elżbietka chce, żebym był dla niej

z uszanowaniem! Ja, co jestem starszy od niej blisko o lat cztery.

— A słyszę, mój kochany; ale przede wszystkim nie pojmuję, czemu byś pragnął, aby nasza Elżbietka była uczoną?

— Jakto, moja Maryniu, ja naprawdę chciałabym zostać bardzo uczoną i sławną. Takbym chciała, żeby o mnie dużo pisali i mówili, nawet jeszcze po mojej śmierci, tak długo, długo, żeby znów jaka Marynia opowiadała o mnie tak, jak ty nam opowiadasz o Drużbackiej.

— Moja Elżbietko, nie koniecznie potrzeba być uczoną, ażeby o nas długo wspominać. Uczoność, to znaczy zgłębianie wielu nauk, lub też przynajmniej jednej nauki dostatecznie, to jest tak, ażeby poznanie jej przyniosło jakąś korzyść dla rozszerzenia tej nauki i pożytek dla społeczeństwa. Do takiej uczoności potrzeba wielkiej pracy, zamiłowania nauki, a przede wszystkim odrębnych zupełnie zdolności. Dziewczynka zaś każda głównie starać się powinna o nabycie jak najwięcej wiedzy, nie dla tego, żeby nią błyszczała, lub dążyła do jakiegś sławy, lecz dla tego, by nią wzbogaciła swój umysł i serce i tak jak w skarbonkę skrzętnie chowała wszystkie znalezione skarby; potem jak ze skarbonki wydobywała je wtedy tylko, gdy ujrzy, że wydobycie ich przyniesie korzyść i przyjemność otaczającym ją osobom. Nie uczoności więc pragnęłabym dla naszej Elżbietki, lecz rozumnej nauki, którą mogłaby być pożyteczną, a tém samém szanowaną i kochaną.

— O, ja ją i teraz kocham, chociaż to jest takie małeństwo. Ale ciebie, Maryniu, to kocham jeszcze więcej i inaczej; bo ty masz taką skarbonkę, z której na nasz pożytek wyciągasz bardzo piękne pieniążki.—I to mówiąc, Oles uściskał z pewnem uszanowaniem starszą siostrzyczkę.

— Ale, moja Maryniu, przecież ta Drużbacka była uczoną, kiedy wiersze pisała.

— Mylisz się, Elżbietko. Nie koniecznie potrzeba być „uczoną“, jak ty nazywasz, aby pisać wiersze. Drużbacka też najmniejszej do uczoności nie miała pretensyi, jak ci to mówiłam, nie umiała nawet żadnego obcego języka, ale umiała patrzeć na otaczającą ją

przyrodę, i na zdarzenia napotymane w życiu, a mając zdolność wierszowania, wszystko to wierszem opisywała. A trzeba wam wiedzieć, że życie jej upływało w ciężkiej pracy, bo mając bardzo szczupłe mienie, musiała pracować na utrzymanie; w młodości więc swą była na dworze Sieniawskich, a później przy córce księcia Michała Czartoryskiego, po śmierci zaś męża zajmowała się gospodarstwem i wychowaniem córek, które wydawszy za mąż, osiadła w klasztorze panien Bernardynek w Tarnowie, w Galicyi.

— Jakto, to ona wstąpiła do klasztoru?

— Nie, moja Elżbietko, Drużbacka nie wstąpiła do klasztoru, lecz znużona pracą osiadła w klasztorze, aby tam w ciszy i młotwie życia dokonać; to też i tam umarła r. 1765.

— Moja Maryniu, powiadasz, że ona nie była uczoną, a jednak musiała mieć dużo rozumu, jeżeli nie ucząc się wiele, mogła pisać wiersze, a będąc ubogą, umiała sobie dawać rady na świecie.

— Że miała rozum, i to niepospolity nawet, tego jej zaprzeczyć nie można; ale tłómaczyłam ci już, mój Olesiu, co to jest uczoność; zastanów się więc sam i powiedz, jaka jest różnica między *uczonością* a *rozumem*.

— O, ja to wiem; rozum to wtedy, jeżeli doskonale rozumiemy to, czego się uczymy i co czytamy, a uczoność, jeżeli umiemy nabytą naukę spożytkować tak, żebyśmy byli użytecznymi dla drugich. Aha, widzisz, Olesiu, ja doskonale zrozumiałam, co nam Marynia tłómaczy.

— Tylko się nie chwal, bo w końcu zechcesz zostać uczoną i siedzieć nad książkami, aby badać jakąś naukę, nie troszcząc się, co się około ciebie dzieje.

— Mylisz się, mój kochany Olesiu, ja wcale nie pragnę być uczoną, ale chcę uczyć się, aby być tak rozumną, jak była Drużbacka; albo nie: taką, jak nasza Marynia!—i to mówiąc mała Elżbietka uściskała ukochaną siostrę.

— Czy to, Maryniu, ta Drużbacka zaraz kazała drukować to, co pisała?

— O, mój Olesiu, z wydrukowaniem tego, co napisała Drużbacka, niemało miała kłopotu i gdyby nie to, że miała bardzo li-

czne stosunki pomiędzy ludźmi wykształconymi, mającymi znaczenie w kraju, którzy ocenili jej prace i dopomagali do ogłoszenia ich drukiem, niemogłaby ich nawet wydać. Najwięcej zaś dopomagał jej w tém książę Adam Czartoryski i cała jego rodzina. A trzeba wam wiedzieć, że wtedy nie tak łatwo było kobiecie zająć się pisaniem; bo przed Drużbacką, była tylko jedna Zofia Oleśnicka z Pieskowej Skały, żyjąca jeszcze w XVI wieku, która napisała pieśń religijną, a po niej aż do Drużbackiej, kobiety wcale się nie brały do pióra. Drużbacka

trącałam cię tylko niechęcią, więc niepowinieneś mi tego przypominać.

— Toś ty mnie powinna przeprosić.

— Przeprosić? a kiedy to niechęcią. No, ale wreszcie!—I to mówiąc dziewczynka ucałowała serdecznie brata.

— A to widzę naprawdę było jakieś nieporozumienie między wami—ozwała się Marynia?

— Tak, niby to, troszeczkę, ale teraz już wszystko załagodziła, Maryniu kochana, opowiadając nam o Elżbiecie Drużbackiej.

— Cieszę się bardzo, że was zajęło moje



Zabawa w cienie.

więc ma niepospolitą zasługę, bo pierwsza wskazała, że kobieta może pogodzić obowiązki matki rodziny i pani domu z zawodem autorskim; a kształcąc się sama, dała dowód, że nabyta nauka dopomaga tylko do zrozumienia i pojęcia tych obowiązków.

— A co, Olesiu, czy uwierzyłeś, że była na świecie Elżbieta, co niemało umiała?

— O, wierzę, wierzę, najzupełniej, a nawet wierzę i w to, że nasza Elżbietka jeszcze wyjdzie na jaką rozsądną i rozważną osobkę, i nie będzie trącać brata przy robocie.

— Mój Olesiu, wszakże już mówiłam, że

opowiadanie, i obiecuję wam często rozmaite ciekawe rzeczy opowiadać, ile razy tylko słuchać będziecie chcieli; ale tymczasem puście mnie, bo może tam co trzeba pomódz mamie i przyrzadzić do herbaty.

— To i ja z tobą pójde, Maryniu—ozwała się Elżbietka—i wyszła razem z siostrą, a Oleś tymczasem pobiegł pozbierać papiery i przybory rysunkowe, które posprzeczawszy się z Elżbietką zostawił porozkładane na stole.

Z. Morawska.

Kilka obrazów z podróży

PO
EGIPCIE.

Piramidy.

Jedna z najpierwszych naszych z Kairu wycieczek miała na celu piramidy, oddalone o półtorej godziny jazdy od hotelu.

słania widok innych piramid, tłumi wszelkie inne uczucia, oprócz grozy i podziwu!

Jesteśmy u wniścia do pustyni, do téj płaszczyzny piaszczystej i kamienistej, zasianej otwartymi grobami i zawałonej górą murów niekształtnych. Przed nami wznosi się dziewięć piramid, wśród których, ogrom nad ogromy, góruje wielka piramida, czyli piramida Kufu. To nie jest dzieło dzisiej-



Zabawa w cienie.

Większa część podróżnych spostrzega piramidy po raz pierwszy z okien wagonu, w drodze z Aleksandryi, a widok ich wtedy nie sprawia wielkiego wrażenia. Lecz gdy się wreszcie stanie na brzegu pustyni, gdy się przebędzie pochyłość piaszczystą i dostanie na skalistą płaszczyznę, a wielka piramida wzniesie się tuż ponad głową, w swym niewymownym ogromie i majestacie, wtedy wrażenie jest równie nagłe jak potężne. Zamyka ona widok nieba i widnokręgu, przy-

szych mieszkańców Egiptu. Piramida ta zadziwia nie tylko ogromem, zadziwia jeszcze starożytnością. Niektórzy historycy obliczają wiek jej na 4,000 lat z górą przed Chr., a inni nawet większą jej przypisują starożytność.

Dawni Egipcjanie wierzyli w nieśmiertelność duszy, ale mniemali, że dusza żyje dopiero, dopóki ciało martwe nie ulegnie zepsuciu; usiłowali przeto ciało zachować i dla tego grzebali zwłoki swych zmarłych w gro-

bach wykutych w skałach, tworzących łańcuch gór Libijskich, na zachód od Nilu. Królom egipskim, potężnym i dumnym, to nie wystarczało; chcieli oni mieć inne miejsce spoczynku, wspanialsze, godne ich wielkości. Miały i to być góry, ale góry ręką ludzką wzniesione. Gdy król na tron wstępował, obierano na brzegu pustyni, na lewym brzegu Nilu, stosowną miejscowość i na nią wznoszono piramidę.

Piramida, to ostrosłup czworoboczny, wyższy od wszystkich wież na świecie, (z wyjątkiem dopiero co ukończonej wieży katedry kolonńskiej) to góra prawdziwa, dochodząca 550 st. wysokości, ręką ludzką ułożona z brył ogromnych kamienia, których kilkaset warstw piętrzy się jedne nad drugimi. I niewiedzieć co tu bardziej podziwiać: czy zręczność i wytrwałość robotników, którzy bez maszyn, co mówię, nawet prawie bez narzędzi, takich dzieł dokonali; czy umiejętność i dokładność, z jaką w podstawie piramid zostawili ganki i izby grobowe, a nad niemi nagromadzili ogrom brył kamiennych, ułożonych w taki sposób, że ani jedna piramida nie zawaliła się dotąd ani runęła.

Zewnętrzna strona piramid wyłożona wygładzonymi bryłami granitu, które okryte są hieroglifami czyli rzeźbionymi napisami, z nich dowiadujemy się, jak te piramidy wznoszono, ile łoż i krwawego trudu kosztowały. Robotników sto tysięcy spędzono ze wszystkich stron Egiptu do tej olbrzymiej pracy; jedni łamali kamienie w górach skalistych; inni je wygładzali, inni Nilem spławiali; byli i tacy, którzy od brzegu Nilu do miejsca, na którym piramida wzniesć się miała, sypali groblę pochyłą, po której na walcach drewnianych posuwano kamienie aż na szczyt piramidy; w miarę jak piramida rosła, wysypywano wyższą groblę. Nowy zastęp robotników przychodził zmieniać dawny; ale nie wszyscy wracali do domów, trud, klimat gorący, praca nad siły zabijały wielu. Piramidę króla Kufu budowało 100,000 robotników przez lat 30; wiemy nawet, ile kosztował czosnek i cebula spożyte przy tej budowie!

Z boku wielkiej piramidy są wschody; można po nich wstąpić na jej szczyt i z tej wysokości objąć okiem wielką przestrzeń rozle-

głej pustyni, na której piramidy świadczą zarazem o potędze i nicości człowieka! A tuż obok przytyka do niej żyzna nad wszelki wyraz dolina Nilu. Nie poprzestając na wrażeń, jakie sprawia widok piramid, ani na widoku z ich szczytu, chcieliśmy zwiedzić wnętrze jednej z nich. Wejście do wielkiej piramidy leży nad 15-tym schodem; wzięliśmy pięciu przewodników z pochodniami zapalonymi i weszliśmy do kurytarza, który stromo opada, a jest tylko 1½ stopy wysokości, trzeba więc iść pochylając się, pełzać prawie. Potem szliśmy w górę i dostaliśmy się do pokoiku, z którego musieliśmy się pięć stromo pod górę, wreszcie stanęliśmy w izbie grobowej, wyłożonej polerowanym granitem. Ale trumny króla Kufu w niej nie ma. Dziwna to igraszka losu. Król Kufu wydał olbrzymie sumy by wzniesć sobie grób trwały i pyszny, tysiące ludzi życiem to dzieło przypłaciło, a przecie Kufu nie spoczął w tym grobie. W Egipcie sądzono po śmierci umarłych; uznawano ich godnymi pogrzebu, lub odsądzano od ostatniej posługi. I Kufu właśnie, za łzy wyciśnięte, od grobowca mógł być odsądzonym. Izba grobowa jego pusta i głucha. Stoi w niej sarkofag, czyli miejsce na trumnę właściwą, z błyszczącego jak szkło granitu, lecz zwłoki innego króla w nim spoczywały.

Krótko mogliśmy się zatrzymać przy Wielkiej Piramidzie; należało się spieszyć; słońce zachodziło, rzucając pełnemi snopami promienie swe na pustynię i w ich blasku piramidy stały, jakoby olbrzymie złociste pochodnie. Oczu nie mogliśmy oderwać od tego widoku. Piramid tu w Gizah jest dziewięć, wśród których trzy góruje ogromem, wszystkich piramid liczą 67; będziemy je spotykać w podróży naszej na falach Nilu.

Anastazyja Dzieduszycka.

Zabawa w cienie.

Rysunki nasze nie potrzebują długiego objaśnienia. Przypatrzcie się, jak dziaduś, ku wielkiej uciesze dziatwy, ułożył tak palce

obu rąk, że na ścianie ukazuje się wyraźny zajęczek. Spróbujcie i wy tej sztuki doka-
zać, a będziecie mieli wyborną zabawę na
długie wieczory i sprawicie wielką przy-
jemność młodszemu rodzeństwu. Drugi ry-
sunek przedstawia także podobne zabawne
wzory, łatwe do naśladowania.

PAMIĘTNIKI JASIA.

OGŁOSIŁ

Piotr Jaksza Bykowski.

(*Dalszy ciąg*).

XXVII.

Audytor audytorów.

Opisanie porządków szkolnych odciągnęło
mnie od dalszych opowiadań o klasie, w któ-
rą moje przesładowania nie ustawały, a cze-
goś coraz były dla mnie dotkliwsze, robi-
łem wprawdzie swoje, ale nieraz podczas
przemiany, w kącie na dziedzińcu szkolnym
gorzko się spłakałem, żaliłem się nawet p.
Trusiewiczowi, który był moim przyjacie-
lem, ten zabronił mi skarżyć się przed wła-
dzą i jako jedyne lekarstwo przeciw tym
nielitościwym docinkom zalecił obojętność,
lecz tej w sobie wzbudzić nie umiałem i prze-
ciwnie coraz stawałem się drażliwszym; na
szczęście niespodziewana okoliczność za-
hartowała mnie ostatecznie przeciw dokuczli-
wości owych małych tyranów.

Niekiedy podczas rekreacji chodziliśmy za
miasto przypatrywać się mustrze wojska; ra-
zu pewnego zdziwiony ujrzałem, że kilku
żołnierzy trzymało mocno konia za uzdę, kie-
dy inni strzelali mu nad głowę; biedne koni-
sko rwało się, drżało, lecz oni dla tego swoje
robili. Nie pojmując, co to znaczyć miało,
spytałem p. Trusiewicza:

— Otóż widzisz co jest, osławiają konia
z hukiem strzałów i jeżeli uważałeś, że każ-
dym razem coraz mniej drży i obawia się,

aż w końcu stanie mu się to obojętnem. To
dla ciebie nauka, tak powinienbyś postąpić
z dokuczaniem kolegów, jak sobie koń ostrze-
lany pocyna ze strzałami, widzisz bowiem,
jak inne konie stoją spokojnie.

W istocie mądra ta nauka poskutkowała i
choć strzały niedobrych kolegów nie usta-
wały, lecz ja na koniec ostrzelałem się z niemi,
jak ten koń i prawie niezwracałem na nie
uwagi.

Kończył się drugi miesiąc mojej bytności
w szkołach, gdy nauczyciele, po bliższym po-
znaniu z uczniami, przystępowali do wyzna-
czenia audytorów. Audytorów obowiązkiem
było przesłuchanie przed przyjściem profe-
sora do klasy, lub w czasie zmiany, zadanej
lekcji, kilku sobie powierzonych uczniów;
wszakże nie na tém się kończyły ich obowią-
zki, a nadto powinnością ich było nie rozu-
miejącego dokładnie lekcji objaśnić i na do-
brą drogę go naprowadzić. Z tych zaś uc-
niów, którzy ze wszystkich w ogóle wykład-
anych przedmiotów zostali audytorami, pro-
fesorowie na ogólnej sesji wybierali kilku,
i tym przysługiwał tytuł: audytora audy-
torów.

Obowiązkiem tak audytora, jako audyto-
ra audytorów, było przesłuchanie lekcji;
pierwszy przesłuchiwał powierzonych mu
uczniów, a drugi audytorów; nadto audytor
audytorów winien był wglądać w czynności
prostych audytorów, czyli byli sprawiedliwi i
bezbiasni względem swoich uczniów. Nau-
czycielom składano raporta, a zdania zapi-
sywano w rubrykach, obok imion, stosownie
do zasługi, literami: *B. (bene, dobrze)*, *V. B. (valde bene, bardzo dobrze)*, *P. (perfecte, do-
skonale)*, *M. (mediocriter, średnio)*, *NS. (non
scit, nie umie)*, a po trzech razach z rzędu:
„N. S.“ pisało się ono straszliwe *H. B. S. (hebes, po prostu)* za które już od kary nie
można się było wyprosić. Każdy z audyto-
rów miał pod sobą 5—6 uczniów.

Każdy zaś audytor audytorów, (a było ich
tylko 3 w naszej klasie) 5-ciu audytorów.

Nie posiadałem się z radości i już wszel-
kie przesładowania za nic sobie ważyłem,
gdy mię ta godność spotkała i mianowany
zostałem audytorem audytorów.

Za powrotem do domu rzuciłem się na szy-

ję mateczce, następnie kochanemu p. Trusiewiczowi, któremu w części tę moję nową godność zawdzięczałem—on zaś przy tej zręczności taką mi dał naukę:

— Nie przeczę, żeś odebrał dowód wielkiego zaufania nauczycieli i władzy, i rad temu jestem, ale pamiętaj, abys ufności w tobie położonej nie zawiódł; nie wbijaj się w dumę, nie bądź hardy względem kolegów, lecz swój obowiązek ściśle i bezstronnie spełniaj, nie daj się, uchowaj Boże, przekupić oświadczeniami przyjaźni, a co gorsza datkami i pamiętaj, że sam przez to, popełniając czyn naganny, nie wyświadczasz usługi koledze, który przez twoje pobłażanie może się opuścić w naukach i kiedyś przyszedłszy do rozumu sam cię nie będzie za wyświadczoną powolność, błogosławił.

XXVIII.

Cenzor.

Nazajutrz już na mnie patrzano w klasie, jak na dygnitarza, dawne przesładowania ustały, a zewsząd poczęły mi się sypać kozubalce (a) pod postaciami jabłek, orzechów, pierników, magagig i t. p.; wszystkie ze wzgardą odrzuciłem, a wzięwszy się gorliwie do przesłuchania lekcyj audytorów, w przeciągu kilku dni dwóch zrzuciłem z godności, audytor bowiem co najmniej musiał mieć B, a dwa razy M pozabawiało go godności i pod władzę innego audytora oddawało.

Dopiero krzyk na mnie powstał, że kozubalców nie biorę, audytorów zrzucam i już nie było miary przesładowaniom—ja zbroilem się w cierpliwość.

Jednocześnie z audytorami wyznaczono cenzorów w klasach, których obowiązkiem było przestrzegać przystojnego zachowania się uczniów przed przybyciem nauczyciela i o wszystkich przekraczających w tej mierze składać mu raport. Że od cenzora nie wymagano celujących postępów w naukach, a mierność nawet wystarczała, byleby był po-

ważnym i statecznym, więc pierwszym cenzorem został mój jedyny przyjaciel Romejko i on powagą swoją umiał malców w ryzach utrzymać, a zresztą zagroziwszy przedstawieniem do kary p. prefekta niesfornych, sprawił tyle, iż się prześladowania moje skończyły.

Ta surowość Romejki nie do smaku była swawolnikom: Poprzysiężono mu zemstę i prędko jęj dokonano, cenzor bowiem, jeżeli sam nie był audytorem, podlegał audytorowi, jak każdy uczeń, już dla tego, że audytorów mianowali nauczyciele, niezależnie od nominacji cenzora, zależącej od samego dyrektora lub prefekta.

Audytorowie tedy ze wszystkich przedmiotów spiknęli się na Romejkę i zaczęli mu sypać fatalne *II. B. S.*, które prowadziły do zrzucenia z cenzorstwa i do smutnych następstw; ja, wyszedłszy to z mojego urzędu, miałem nań oko, sam przesłuchiwałem go tych lekcyj, niezależnie od każdego audytora, bo do mojęj sekeyi należał i znalazłem, że najmniej na B. zasługiwał; nadto rozpoznałem z nim korepetycyę, a okazało się, iż była to głowa niezła, ale nikt jęj, tak jak mnie dziadzio, przez rozumowanie nie otworzył; biedny był, mieszkał u równie biednego brata rybaka i na korepetytora stać go nie było; zająłem się nim szczerze, pakowałem w tę twardą, a pocziwą głowę, jakby łopata i z czasem wcale dobrego zeń ucznia zrobiłem.

Ale wracam do owych *II. B. S.* o których zawiadomiłem nauczycieli, że niesprawiedliwie były dane, a mój Romejko, wzięty na egzamin, i dodam, uczciwszy moję skromność, przygotowany przezemnie, wszędzie uzyskał *V. B.*, owi zaś stronni audytorowie, według ustawy szkolnej, poszli pod jego audytorstwo, a nadto za niesprawiedliwość i stronność ulegli surowym karom.

Jakaś cisza nastala, a nasza przyjaźń z pocziwym Romejką silnie i na długo się zawiązała; pisząc to, mam go przy sobie w szóstej już klasie, a w żadnej z poprzednich nie pozwoliłem mu na drugi rok zostać, prawda, iż nie był z niego orzeł, ale laźł sobie na raku, wszakże laźł, a mnie kochał i zawdzięczając moje o nim starania w szkole, matecz-

(a) *Kozubalec*, wyraz nieco przestarzały, oznacza „okup, datek, kuban“ w szkole był on przyjęty ogólnie, na oznaczenie przekupstwa.

ce dostarczał bezinteresownie ryb na dni postronne.

Prawda, że już odtąd nie doznałem żadnej od kolegów przykrości, owszem nawet z czasem miłość ich pozyskałem, a na obowiązkach moim audytorskim, chociaż byłem sprawiedliwy, lecz łagodny i wyrozumiały, szkodzić nikomu nie chciałem i dobrze mi już było.

Wszakże wszystkie te przejścia, a może i nadmierna praca, o chorobę mnie przyprawiły.

XXIX.

Choroba.

Kochana mateczka, bezustannie chwalać się mojem zdrowiem, często mawiała, że od najwcześniejszego dzieciństwa bólu głowy nigdy nie doznałem. Wyobrażam więc sobie, jak ją biedną musiała zatrzwożyć moja gwałtowna choroba, która mnie odrazu na łóżko powaliła. Nie umiem dotąd nawet powiedzieć, co się ze mną stało i gdyby nie ciężki frasunek matki, zapomniałbym o tej chorobie, témbardziej, że ta przypadła na parę dni przed świętami Bożego Narodzenia, czyli przed wakacjami szkolnemi, a po świętach już byłem na nogach i zaledwie kilka lekcji utraciłem, tak iż wcale mi to kursu nie przerwało.

Pisząc to, z wyjątkiem przyczynionego zmartwienia biednej mateczce, przytoczę przysłowie: „Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło”—gdyż ta moja choroba dała mi bliżej poznać ludzką i dobroczynną instytucję, istniejącą przy gimnazyum Podolskiem, pod nazwą: *Towarzystwo niesienia pomocy chorym uczniom*.

Towarzystwo, jak wszystko służące dla dobra i pomocy uczącej się młodzieży, zawdzięcza swoje istnienie dozorce honorowemu p. Szczeniowskiemu. Oddać sprawiedliwość należy, że inicjatywę do tego podał doktor powiatowy, Adam Chondzyński, ofiarując chorym uczniom bezinteresowne posługi, a resztę uczynność okolicznych obywateli podniecana przez p. Szczeniowskiego dokonała i on sam z własnego majątku wieczysty na to fundusz przeznaczył.

Najprzód opowiem, jak się ta opieka nad

chorymi wykonywała: każdy z utrzymujących uczniów lub dozorca, a nawet rodzice, u których dzieci będące w szkołach mieszkali, o każdej chorobie ucznia winni byli niezwłocznie zawiadomić władzę szkolną i lekarza gimnazyalnego, który natychmiast przybywał, a jeżeli choroba cięższą była i wymagała ciągłego czuwania przy chorym, instalował tam szkolnego fclczera, których było kilku płatnych od towarzystwa, na rachunek tegoż równie wydawały się wszelkie lekarstwa z apteki. Nadto, gdyby chory wymagał lepszego wyżywienia, zwłaszcza w chorobach, w których z przyczyny złych pokarmów recydywy obawiać się należało, towarzystwo dostarczało takowych swoim kosztem.

Zwrót zaś wyłożonych kosztów na chorobę polegał na możności i sumieniu rodziców, natrętnie się o to nigdy nie upominało towarzystwo.

Ponieważ ta ze wszech miar pełna ludzkości, a godna naśladowania instytucja, tak czynną i gorliwą rozciągającą nad nami opiekę, a której ja zdrowie, a mateczka spokojność zawdzięczała, wielce mnie zainteresowała—z czasem po wyzdrowieniu starałem się dowiedzieć o jej funduszach i podstawach istnienia:

Otóż rozpocznę od ustawy szkolnej, już przezmennie zacytowanej, której punkt 1 głosił:

„Rząd Cesarskiego Uniwersytetu Wileńskiego postanowił: aby uczniowie wszystkich szkół bez wyjątku władzy jego podlegających, na potrzeby szkolne opłacali rocznie złotych polskich dziewięć albo rubli asygnacyjnych pięć. Od tej opłaty sami tylko ubodzy wolni są wtedy, gdy zaświadczenie ubóstwa swego prawdziwego, przez urząd powiatowego marszałka i proboszcza podpisane—złożą.“

Ten fundusz był od władzy szkolnej przeznaczony na niesienie pomocy chorym; lecz prawdopodobnie zaledwie mniejsza część była w możności uiszczuć tę opłatę, gdyż większość uczniów z samych się składała biedaków. A tymczasem towarzystwo w średniej liczbie corocznie 80-ciu chorym własnym kosztem pomoc dawało. (d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Drzewo mrówkowe. Zadziwiające są często sposoby, jakimi Opatrzność podtrzymuje życie różnych stworów na ziemi lub zabezpiecza je od zniszczenia. W Ameryce zwrotnikowej przebywa niezmiernie mnóstwo mrówek, a niektóre gatunki niszczą niemiłosiernie liście drzew. Ale jest tam jedno drzewo, które nie lęka się wcale tej napaści, gdyż utrzymuje sobie dla obrony liczne wojsko, daje mu żywność i wygodne mieszkanie, a za to czujna ta załoga nie dopuszcza rabusiów i liście drzewa są ocalone. Ciekawi jesteście zapewne, jaki to rodzaj stworzeń pełni te zaszczytne obowiązki obrońców? Ba! nie domyśliliłbyście się nigdy, że to są także mrówki, ale mrówki mające całkiem odmienne upodobania.

Drzewo, o którym mówimy, jest to gatunek akacyi; całe jest najęzione potężnymi kolcami, które wyglądają zupełnie, jak małe wygięte różki krowie i nawet tak jak różki parami są osadzone na pniu i gałęziach. Kolce te za młodu wypełnione są miazgą, stanowiącą najulubieńszy przysmak małych, żwawych mrówek, które przegryzają każdą taką parę różków przy nasadzie i wyjadają srodek, a gdy kolce z czasem stwardnieją, mają tam w tém wydrążoném wnętrzu bardzo wygodne mieszkanie. Tymczasem na młodych pędach drzewa nowe wyrastają kolce, smaczną miazgą wypełnione, a oprócz tego na liściach przy nasadzie nabrzmiewają gałeczki malutkie, sączące także słodką ciecz, naksztalt miodu.

Możecie sobie łatwo wyobrazić, że mrówki, które na te speęwały niezmiernie są łakome, nigdy ulubionego swego drzewa nie opuszczają. Czasem się tak wszystkie pochowają i cichutko przyczają, że patrząc na drzewo nie widać wcale tych osobliwszych jego mieszkańców, ale dość jest potrząść niém, ażeby malutkie wojsko natychmiast wysypało się ze swych kryjówek, czujnie na wszystkie strony spoglądając, czy nie grozi zkąd niebezpieczeństwo.

Naturaliści nie podpatrzyli wprawdzie, ja-

kim sposobem te drobne mrówki umieją odstraszyć większe i silniejsze swoje krewniaczki, które nie poprzestając na słodkich łakociach, zabierają się zaraz do obcinania liści, ale to pewna, że nigdy te niszczycielki nie broją na drzewach opatrzonych taką ochronną załogą. Jeżeli zaś drzewa zostaną przesadzone w inną okolicę, gdzie niema walecznych owych owadków, liście ich wkrótce padają ofiarą większych mrówek, a gałeczki, sączące sok słodki, zarówno jak i kolce, pozostają nietknięte. Ta osobliwsza akacya nazywana jest przez krajowców drzewem mrówkowym, albo rogiem krowim.

Zagadka głoskowa. (Wł. J.)

Z głoską *f* przedmiot dymiący,
Z głoską *cz* ptak brodzący,
Z głoską *b* rzecz zmyślona,
Przez dzieci lubiona.

Łamigłówka zgłoskowa. (T. S.)

Z następujących zgłosek: a — a — bul — in — ka — lid — ma — psze — pu — rio — ron — ron — sto — sty — tra — wa — za — zy — ułożyż sześć wyrazów: 1) Wódz i wybawca Aten z pod jarzma tyranów. 2) Słynny poeta włoski. 3) Potrawa ulubiona Włochów. 4) Nazwa kaleki. 5) Czas ogólnych zabaw. 6) Półwysep obfitujący w naftowe źródła. Pierwsze litery, odczytane od góry do dołu, tworzą nazwę rzeki, a ostatnie, także od góry do dołu, miasta nad tą rzeką leżącego.

Tajemnicza głoska.

Kura — Rawa — Worek — Reny — Lis — Ma — ra — Koły — Trawa — Fura — Kara — Kasa — Mury — Sara — Pora — Kosz — Mir — Tor — Sok. — Wynaleźć głoskę, która dodana do każdego z tych wyrazów, utworzy nowy wyraz.

Rozwiązania do N-ru 48.

Łamigłówni kryształowej:

H
R E N
W A R N A
H E R O D O T
I N D U S
S O K
T.

Łamigłówni zgłoskowej:

Bas
Obóz
Leje
Efez
Sito
Ład
Azor
Wydry.

Bolesław—Szczodry.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Halince i Zosi K. w Słomczycach. I my stęskniliśmy się już za liścikami, które dawniej daleko częściej nadchodziły, nie przyszło nam jednak na myśl, że to długie milczenie pochodziło z tak smutnej przyczyny. Oby Bóg jaknajprędzej wszystkie te troski odwrócił. Zawsze z prawdziwą przyjemnością odczytywać będziemy liściki, choćby bez rozwiązania łamigłówek, szczególnie zaś pożądane jest dla nas zdanie młodych czytelników i czytelniczek o powiastkach i opowiadaniach, które im w Piśmie naszym podajemy. Zdanie to koniecznie powinno być zupełnie szczere, nie tylko obrazić to nas nie może, ale przeciwnie najlepszym dla nas będzie dowodem, że czytelnicy umieją rzeczy dobre ocenić tak, jak na to zasługują. Dla tego też serdecznie dziękujemy za wiadomość, co się podobąło więcej, a co mniej. Łamigłówna liczbowa jest bardzo dobra, ale zadanie konikowe musi być ułożone w taki sposób, aby zgłoski następowały po sobie w pewnych odstępach, na wzór skoków konika w szachach. Komedijkę

mamy już przygotowaną i jakgdybyśmy przeculi życzenie kochanych korespondentek, występują w niej właśnie trzy dziewczynki i trzech chłopczyków. Nie możemy jej jednak drukować przed Bożem Narodzeniem dla braku miejsca, ale rozpoczniemy druk jej niezawodnie od 1 Stycznia 1881 roku.

Mańci Bar. w fermie Ostrowie. Dziękujemy za łamigłówni, obie są dobre i będą drukowane. Ucieszyła nas wiadomość, że Pogadanki o sztukach pięknych tak się podobaly, obawialiśmy się bowiem, ażeby nie były za poważne; są one przeznaczone dla dorastających panienek, a spodziewamy się, że i takie Pismo nasze czytują.

Bronci M. w Sosnowicach. Rozwiązania łamigłówek są trafne, a co więcej starannie i porządnie napisane; że zaś ostatni wyraz w łamigłówni liczbowej nie mógł być odgadnięty, to już nasza wina, bo przez omyłkę wydrukowano liczbę 6, w miejscu 5. Trudno bardzo ustrzedz się podobnych błędów drukarskich, które nam jednak niebyst często się zdarzają.

Bohdusiowi Sz. Ucieszyliśmy się niezmiernie na widok pisma, które nam przypominało tyle ładnych liścików; a co dopiero, kiedyśmy się dowiedzieli, że kochany nasz korespondent sam do Warszawy przyjechał i obiecuje nas odwiedzić w redakcyi. Pismo odesłaliśmy według wskazanego adresu i oczekujemy miłego gościa.

Dzieci z okolic Kamieńca, które ofiarowały 20 rs. na Osady Rolne, proszone są o nadesłanie dokładnego adresu, gdyż Zarząd Osad przesłać chce ofiarodawcom Rocznik Towarzystwa.

OD REDAKCYI.

Przypominamy wszystkim prenumeratorom, aby przedpłatę na rok następny składali jaknajwcześniej, dla uniknienia zwłoki w odbiorze Pisma. Najlepiej pieniądze adresować wprost do redakcyi: **Marszałkowska Nr. 77, od 1-go Stycznia 1881 r. S-to Krzyżka Nr. 44.**

Ogłoszenie.

Dla prenumeratorów Wieczorów Rodzinnych są do nabycia w Redakcyi: **Pogadanki Naukowe przez Autorkę Wieczorów Czwartkowych**, za cenę zniżoną 30 kop., z przesyłką pocztową 40 kop., oraz **Wakacje Janka i Zosi**, teje autorki, kop. 75. z przesyłką pocztową kop. 85 **Podwieczorki u Jazdi przez Jaskółkę**, w ozdobnej oprawie, z kilku drzeworytami kop. 90, z przesyłką pocztową rs. 1.

